

Gigant Lem z Wyspiańskim w tle czyli Na jakiej glebie rośnie geniusz

"Wiedza oznacza oczekiwanie określonego wypadku po zajściu pewnych innych wypadków.

Kto nic nie wie, spodziewać się może wszystkiego.

Kto coś wie, sądzi, że nie wszystko może się zdarzyć,

a tylko pewne rzeczy, inne natomiast zajścia ma za niemożliwe."

(Stanisław Lem, "Chaos i Ład", 1964)

Ktoś obliczył, że liczba ludzi od zarania żyjących na kuli ziemskiej wynosi około 108 miliardów. Od kiedy liczył, nie wiem, umówmy się więc, że od Adama i Ewy. Ktoś inny policzył, że w tej miliardowej masie ludzi urodziło się około 400 geniuszy. Nie wiem, jak liczył i czy wliczył do nich Lema i Wyspiańskiego, ale jeśli nie był Polakiem, to pewnie nie, choć bez wątplenia geniuszami byli, nawet jeśli bardzo różnymi. Jakiej gleby trzeba, żeby wyrósł na niej geniusz, jeśli już się w jakiejś społeczności, w jakimś miejscu zdarzy? I jakiej tuby, żeby usłyszał o nim cały świat, jeśli jest twórcą genialnego dzieła? Lub postawmy pytania odwrotnie, dlaczego wielomilionowa Polska jest tak słabo słyszalna? Taka prowincjonalna? Taka, jak to sami o sobie mówimy, zaściankowa? Czemu nie przyjęła się u nas reformacja? Czemu rozmyło oświecenie? Dlaczego przystopowało wolnomyślicielstwo? Czy mocny katolicyzm osłabia intelekt? A jeśli osłabia, to czemu na to pozwalamy? Czy to błędne koło bez wyjścia?

Stanisław Lem zwykł mówić o sobie, że jest agnostykiem, prawie ateistą lub ateistą, a gdyby ktoś był ciekaw, dlaczego tak niezdecydowanie, doprecyzowywał, że jest agnostykiem, jeśli chodzi o poznanie, zaś ateistą, jeśli chodzi o bogów. A zatem średnia statystyczna to "prawie ateista". Z drugiej strony jak na "prawie ateistę", tematem bogów, Boga i ogólnie transcendencji, zajmował się jako żywo i to w najprzeróżniejszych kontekstach, i odsłonach, na fantazyjnie i na faktycznie, na poważnie i na wesoło. Temat inteligentnej kreacji i nierozumnego przypadku, boskie miłosierdzie i boskie okrucieństwo, kosmiczny chaos i porządek, uniwersalne prawa i magiczne nielogiczności, wiekuistość i skończoność, Absolut i względność przewijają się w jego powieściach, opowiadaniach, esejach i wywiadach. Z odpowiednim dystansem pisarza o wszechstronnej wiedzy i dużym poczuciu humoru.

Lem był nie tyle pisarzem, ile myślicielem, genialnym wizjonerem. O ile jednak w Niemczech uchodził za pisarza-filozofa, w ZSRR zaś podziwiała go elita naukowa, w Polsce po jego śmierci (27 marca 2006) zupełnie serio zastanawiano się, czy nie skończy na półce z książkami dla dzieci i młodzieży, jak przed nim Juliusz Verne czy H. G. Wells. W latach 60., gdy nakład jego książek w świecie dochodził do dwóch i pół miliona egzemplarzy, jego przyjaciel i sąsiad, prof. Jan Błoński, nie zajmował się jego literaturą jako polonista-naukowiec, gdyż nie wiedziałby, jak ją, zgodnie z obowiązującymi go uniwersyteckimi kryteriami, zakwalifikować. Z braku chętnych do opracowania jego dzieł, Lem sam (sobie) pisał analizy gatunku literackiego, jaki uprawiał.

Dopiero w drugiej połowie lat 80., gdy Lem miał zasadniczo większość swojej pracy literacko-eseistycznej za sobą, zajęli się jego dziełem krytycy literatury, Jerzy Jarzębski i Stanisław Bereś. Po nich pojawili się następni "lemolodzy". Jednak do końca życia Lem żył w przeświadczeniu, że - mimo coraz liczniejszych nagród państwowych, honorowych tytułów uniwersyteckich, odznaczeń i wyróżnień oraz ogólnej popularności - w Polsce nie doceniono jego geniuszu.

Dla humanistów był przede wszystkim autorem powieści fantastycznych, czyli pośledniejszego gatunku literatury, zaś dla naukowców - dyletantem fabularyzującym naukę.

Jego biograf Wojciech Orliński, autor wydanej w roku 2017 książki "Lem. Życie nie z tej ziemi", jest dziennikarzem po studiach na Wydziale Chemii UW, a więc znowu nie-strictly-humanista. Humanisci, a przynajmniej humaniści z uniwersyteckimi papierami, mają kłopot z Lemem, ciągle jest to dla nich hybryda spoza ich kręgu zainteresowań, z ich punktu widzenia nie ma takiego zwierzęcia. W Polsce może nie grozi już Lemowi całkowite zapomnienie - trudno zlekceważyć kogoś przetłumaczonego na ponad 40 języków o łącznym nakładzie ponad 30 milionów, polskim rekordziście - ale nadal tak jest, że "lemofilia" jest rzadką przypadłością, nieomalże wstydliwą chorobą wczesnej młodości, bo ciągle tak jest, że ktoś zagadnięty o Lema, odpowiada, a tak, tak, znam, czytałem w szkole... w dzieciństwie...

Również za granicą, mimo tych ogromnych nakładów, Lem, jak się okazuje, nie jest referencją w sprawach, tematach, w których powinien być, bo kto, jak nie on? W książce "Homo Deus. Historia jutra" Yuvala Harari'ego, o której kilka lat temu głośno było w całym świecie, wśród wielu nazwisk, do których autor się odwołuje, Lema brak. Dlaczego? Spróbuję się zastanowić nad tym swoistym fenomenem. Niby "nikt nie jest prorokiem we własnym kraju", z drugiej strony każdy kraj chce być dumny ze swoich geniuszy, a już szczególnie taki kraj, jak Polska, miotający się między manią wielkości i kompleksami niższości. A jednak megalomania przysłania autentyczną wielkość strzelając sobie we własną stopę.

Bo gdy zapytać w miarę rozgarniętego cudzoziemca o znanych współcześnie Polaków, to powie Jan Paweł II i Wałęsa, ale nie Lem. Dlaczego polska dźwignia jest taka słaba? Nawet Stieg Larsson, szwedzki autor głośnej trylogii "Millennium", deklarujący swoją miłość do literatury SF, wśród swoich ulubionych lektur nie wymieniał żadnych tytułów Lema (czym byłam mocno rozczarowana). Wygląda na to, że Polska nawet w tych dziedzinach, w których ma swoich przedstawicieli na światowym poziomie, jest za cienka, żeby się przebić (nie mówię o gigantach sportu, mięśni, gdzie działa dźwignia międzynarodowa, a o gigantach mózgu).

Skąd ten polski niedostatek? Ano, z ogólnopolskiego światopoglądu przesiąkniętego wiarą w Boga, dzieworództwo, zmartwychwstanie, diabły i anioły, życie pozagrobowe. A uczy się tego na lekcjach religii w szkołach. Jak w państwach wyznaniowych. Światopogląd, jak wiadomo, wynosi się zazwyczaj z domu, w jakim się przyszło na świat, i ze społeczeństwa, w jaki się wchodzi. Wiara zwykle wyprzedza wiedzę. A, jak wykazują coraz to nowsze i pewniejsze badania, jeśli umysł ludzki raz w coś uwierzy, to umarł w butach, żadna logika, żadna argumentacja, żadne przedstawianie faktów go nie przekonają, od tego nie "odwiedzą", nie jest tak, jak jest, tylko jest tak, jak on, mózg, wierzy, że wie. Co raz wie, tego nie "odwie".

Gdzieś w najgłębszych zakamarkach mózgu wypala się ta wpajana dziecku wiedza i jeśli jest to wiara choćby w zupełne niedorzeczności, trudno będzie to odmienić. Oczywiście z wiarą w krasnoludki dziecko musi się pożegnać, ale robi to tylko dlatego, bo dorośli, autorytety, wiarę tę wyśmiewają aż wyśmieją. Gdyby dorośli zawczasu wyśmiewali wiarę w zmartwychwstanie Boga, lub po prostu uczyli dziecko, że jest to pierwotna wiara w odrodzenie przyrody, a "zmartwychwstanie bogów" symbolem tej cykliczności, dziecko i z tą wiarą by się bez większych problemów pożegnało, ale ponieważ tego nie robią, wręcz przeciwnie, całym swoim zachowaniem utrwalają tę wiarę, to, co się wypaliło, wypala się jeszcze definitywniej (do prawd wiary chrześcijańskiej jesteśmy przyzwyczajeni, ale spójrzmy na muzułmanów i, o ile potrafimy, przestańmy się dziwić, oni mają tak samo).

Oczywiście jeśli dziecko z mlekiem matki wyssie ciekawość świata, otwartość, dociekliwość, brak lęku przed odrzuceniem, wyśmianiem, a z naukami ojca nietłumiony przez niego sceptycyzm, niebranie niczego na wiarę, odwagę w stawianiu pytań, to sprawa wygląda zgoła inaczej. Spójrzmy na dom i środowisko małego a potem młodego Lema. Stanisław Lem przyszedł na świat (12 a właściwie to 13 września 1921 roku, patrz przypis) w rodzinie zasymilowanych polskich Żydów, ojciec miał wtedy 42 lata, od dawna był lekarzem, syn był jedynakiem. Samuel Lem (wtedy jeszcze Lehm) w roku 1900 miał 21 lat i we Lwowie przygotowywał się do zawodu lekarza, publikował wtedy wiersze i teksty literackie, talent jego przyszłego syna nie wziął się znikąd. Młodsza o 13 lat Sabina Wollner, przyszła matka Lema, miała wtedy lat 8 i mieszkała ze swoimi rodzicami w Przemyślu. Oboje zostali późnymi rodzicami, gdyż ich ślub odroczyła Wielka Wojna (Pierwsza Światowa), późne rodzicielstwo, jak wykazują najnowsze badania, ma też swoje dobre strony.

Ludzie, którzy w miarę świadomie odeszli od wiary przodków najczęściej równie świadomie nie są podatni na inne wiary. W Europie (zwłaszcza Zachodniej, ale też i Wschodniej) sporo tzw. świątłych Żydów "emancypowało się" od starej wiary i przechodziło na protestantyzm - jako że jakąś konfesję musiało się mieć. W praktyce oznaczało to często odejście od wiary w ogóle (a pozostanie przy niektórych obyczajach starej wiary z powodu resentymentów i przejmowanie obyczajów nowej wiary w różnych proporcjach z przyczyn asymilacyjnych, przystosowawczych, żeby było jak ogół).

Lwów, miasto rodzinne Lema, był wtedy miastem wielu kultur, na przełomie wieków XIX i XX zaczął się jego "złoty okres". Łączyło się to z faktem, że w pobliskim rejonie Borysławia i Drohobycza w drugiej połowie XIX wieku zaczęto wydobywać na skalę przemysłową ropę naftową potrzebną m.in. do wynalezionej przez chemika Ignacego Łukasiewicza lampy naftowej, co spłynęło na miasto bogactwem, a to z kolei przełożyło się na lepsze szkolnictwo i ogólny postęp techniczny, np. sfinansowało elektryfikację (Lwów od roku 1894 miał jako jedno z pierwszych miast na świecie sieć tramwajów elektrycznych).

Przemysł potrzebował wynalazców, a wynalazczość wymagała odpowiednio nakierowanej edukacji, stawiano na inżynierów nie zaniedbując innych dziedzin, łączono studia nauk ścisłych i technicznych z naukami humanistycznymi, filozofią, coraz modniejszą psychologią. Nastąpiło przyspieszenie postępu dzięki sprzężeniu techniki z nauką myślenia, co generowało kasę na dalszy rozwój, a to powodowało, że spirala kręciła się coraz szybciej, tak szybko, że w roku 1918, gdy Polska uzyskała niepodległość, to Lwów, nie Warszawa i nie Kraków, był najbardziej rozwiniętym miastem polskim. W 20-leciu międzywojennym działała tam legendarna dziś lwowska szkoła matematyczna.

Na Uniwersytecie Lwowskim pod koniec XIX wieku zaczął swoje wykłady filozof Kazimierz Twardowski (1866-1938). Uczył się na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu w Wiedniu. Studiował filozofię pod kierunkiem Franza Brentano, a także filologię klasyczną, matematykę i fizykę. Doktorat z filozofii obronił w 1891. Jego praca habilitacyjna "O treści i przedmiocie przedstawień" okazała się ważną pozycją filozoficzną przełomu XIX i XX wieku, wpływając na poglądy czołowych filozofów europejskich (m.in. Husserla), jak podaje Wikipedia. Nie był ateistą, był deistą-antyklerykałem.

Jego wykłady cieszyły się ogromnym powodzeniem, do dwóch tysięcy słuchaczy ze Lwowa i z innych miast bywało na jego zajęciach, jak pisze Wojciech Orliński (w omówieniu książki "Profesor Weigl i karmiciele wszy" Mariusza Urbanka, "Książki", kwiecień 2019), łączył filozofię z zainteresowaniem naukami ścisłymi a także rozwijającą się wówczas psychologią. Jego wychowankowie zwani "twardowszczykami" dbali o jasność wypowiedzi, unikanie

pośpiesznych syntez i dopracowanie szczegółów.

"Twardowszczykami byli m.in. Władysław Kotarbiński - twórca prakseologii, czyli filozofii skutecznego działania (to bardzo lwowskie!), metodolog nauki Kazimierz Ajdukiewicz, historyk filozofii Władysław Tatarkiewicz, matematycy, etycy, logicy, prawnicy. Wśród nich także bohater książki, mikrobiolog prof. Rudolf Weigl, wynalazca szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Stanisław Lem wprawdzie nie był wychowankiem Twardowskiego - ledwie zdał maturę, gdy nadeszła wojna - ale śmiało można powiedzieć, że był wychowankiem twardowszczyków. Widać elementy tej filozofii w jego światopoglądzie: racjonalizm, fascynacja postępem naukowo-technicznym, niechęć do wszelkich dyktatur", pisze Orliński.

Na przełomie wieków starszy o 10 lat od Samuela Lehma Stanisław Wyspiański tworzy w Krakowie swoje genialne dzieło. W opozycji do środowiska "statecznych" krakowian i konserwatywnych przedstawicieli Kościoła. Wychował się w domu ojca-artysty i w otoczeniu jego kolegów-artystów, przede wszystkim Jana Matejki, rozwijał jako wolny umysł i talent, chłonał jakiś czas młodą artystyczną atmosferę Paryża, jeździł do prężnie rozwijającego się Lwowa... Jeszcze chwila i uderzy w zadufany w sobie mieszczański Kraków oraz zgubne polskie fantazmaty religijno-ojczyźniane sztuką "Wesele" (prapremiera będzie miała miejsce 16 marca 1901), a kilka lat później sztuką "Wyzwolenie" (prapremiera 28 lutego 1903).

Lwów był swoistym mikrośrodowiskiem dla wybitnych umysłów, tygłem kulturowo-naukowym. We Lwowie pierwszych dekad XX wieku mówiono kilkoma językami, polski przeplatał się z ukraińskim, niemiecki z czeskim, rosło zainteresowanie hebrajskim jako językiem współczesnym, nie tylko biblijnym... Obrządków katolickich było trzy rodzaje: łaćski, grecki i ormiański. Do tego prawosławie i różne wersje judaizmu. Sklepowe szyldy były w kilku językach i trzech alfabetach, łaćskim, hebrajskim i cyrylicą. Weigl mówił po niemiecku, czesku i polsku, w tej kolejności. Badacz chasydyzmu Martin Buber nauczył się we Lwowie sześciu języków. Unikano konfliktów etnicznych. Właśnie w takim miejscu wyrastał Stanisław Lem. Robiono wtedy w szkołach badania IQ, Lem, jak dziś wiadomo, był najinteligentniejszym dzieckiem w całej południowej Polsce.

Tu wspomnę, że znał, i to dobrze, niemiecki, francuski, rosyjski i angielski (ten ostatni biernie, bo uczył się sam, już w Krakowie, czytając ze słownikiem w rękę książki i teksty naukowe). Gdy wraz z rodzicami znalazł się po wojnie w Krakowie, był już ukształtowany jako człowiek, miał wyrobione pewne istotne dla przyszłej twórczości nawyki myślowe, autonomię, suwerenność i dyscyplinę myślenia, wnikliwość, pomysłowość i zmysł obserwacji (niestety, widział także 5 lat hitlerowskiego terroru i stalinizm).

A jako że gotowy uczeń znajduje swego nauczyciela, młody Lem spotkał na swej już krakowskiej drodze psychologa i filozofa Mieczysława Choynowskiego (1909-2001), który podstawiając pilnemu uczniowi odpowiednie lektury (m.in. te po angielsku właśnie, sprowadzanie do komunistycznej Polski najnowsze osiągnięcia myśli światowej), uporządkował jego wiedzę, wskazał kierunek rozwoju, i zainteresował cybernetyką (nauką o przetwarzaniu i przekazywaniu informacji, informatyką). Był dla Lema intelektualnym mentorem, "niemalże guru", jak mówił o nim sam Lem.

Lem nie był ani wzrokowcem ("Codziennie rano chciałbym dziękować Panu Bogu za to, że nie obdarzył mnie talentem malarskim", do Stanisława Beresia w: "Tako rzecze Lem") ani słuchowcem, świat postrzegał poprzez intelekt (pisarka Susan Sontag zauważa, że myśl to także zmysł). Nie cenił Wyspiańskiego, nie lubił teatru, na koncertach usypiał. A jednak swoje pierwsze teksty dla paryskiej "Kultury" podpisał pseudonimem "Chochół", docenił znaczenie symboliczne postaci z "Wesela". W "Prognozach Chochoła" Lem kryjący się pod pseudonimem "Chochół" wróżył Polsce między innymi:

Waga spraw oświaty i kultury będzie coraz mniejsza w oczach władzy. Już obecnie fikcyjność nauki polskiej, to jest lichota wszystkich omalże jej kadr poczynając od Polskiej Akademii Nauk, a kończąc na Naczelnej Organizacji Technicznej, jest dla każdego obznajmionego z sytuacją nauki w świecie najzupełniej oczywista. Zjawisko pozornych odkryć, pozornych sukcesów naukowych i technicznych, pozornych usprawnień, wynalazków, etc., będzie dominowało.

Dla naukowców z prawdziwego zdarzenia będzie coraz mniej pola do działania [...]. Także propaganda zastępująca oświatę w szkołach podstawowych i średnich będzie się prymitywizowała i zarazem nasilała. Przymus uczestnictwa w tej szkole kłamstwa będzie powszechny i trwały. System ustrojowy bowiem, w jakim przyszło nam żyć, reaguje irracjonalnie, poniekąd "magicznie" na wszelkie własne zapaści czynnościowe, gospodarcze, społeczne i polityczne. Być może, władcy [...] będą wciąż jeździli do różnych królów i różnych królów wciąż [...] przyjmowali, albowiem każdy chwyt jest dla nich dobry, jeśli zdaje się jakoś przysparzać im autorytetu i powagi.

Będzie zatem znacznie więcej niż dotąd złych książek, filmów, podręczników, przedstawień teatralnych i ostatki autentyczności będą tylko trwały w rezerwach sportu i rozrywki masowej typu cyrkowego, rozrywka taka nieprzypadkowo jest faworyzowana [...] jako iż kulminuje w bezmyślności.

Demoralizacja środowisk dziennikarskich i zbliżonych (umasowienie kultury) będzie postępowała. Ponieważ nikt nie będzie nic robił tutaj z przekonania o wartości sprawy, posunie się dalej sprostytuowanie takich środowisk, przy czym wyraźne będzie jednoczesne zjawisko ich "pauperyzacji". Władza będzie udzielała im zaiste mikroskopijnych już przywilejów, wiedząc, że środowiska te i tak są zdane na pilne kolaborowanie z nią, jako że nie mają żadnego innego wyjścia.

Każdy głos, zabarwiony nutką autorytarną, nacjonalistyczną, czy aż skłonnością do totalitaryzmu, jest oku władzy miłszy, niż głosy "heretyków" i "kacerzy", pragnących napraw Rzeczypospolitej w duchu demokracji, albo, uchwaj Boże, wręcz socjalizmu.

[...] pojawiają się zróżnicowania społecznego statutu, w obrębie uprzywilejowanych, zależnie od tego, czy dany fach jest na łaskę władcy zdany bez reszty (jak dziennikarstwo), czy też jest on tej władzy m o ż n y m, bo częściowo suwerennym względem niej poplecznikiem, czy nawet jej "zbrojnym ramieniem" [...]

Ideałem dla tego rodzaju władzy jest sytuacja, w której od postanowienia władzy zależy c a ł a wartość danego człowieka czy grupy ludzi: kiedy poetą, dyrektorem, ministrem, członkiem [partii], filozofem, wynalazcą, geniuszem

bądź zdrajcą zostaje się z m i a n o w a n i a, i tyle tej funkcji, ile trwałości tego mianowania. Ten, z kogo partia zdejmuje namaszczające ręce, p o w i n i e n szczeznąć, jakby go nigdy nie było.

Oportuniści, arrywiści i inni po trupach idący szmatławcy, którzy przy sprzyjającej koniunkturze [...] zajmują miejsca autentycznych organizatorów, lekarzy, uczonych, pisarzy, konstruktorów, rugując autentycznych fachowców, z największą szkodą gospodarki narodowej, życia ludzkiego, zdrowia, jakości i imienia nauki polskiej, sztuki i tak dalej. Lecz tak przejawiający się klucz sławetnej "selekcji negatywnej" jest właśnie plagą [...]; nie może on sprawić cudu i miłych sobie, "totalnie dyspozycyjnych" kanałii, w zamian za ich oportunistyczną skwapliwość służenia, uczynić użytecznie uzdolnionymi specjalistami.

[Władza] Postępuje tak właśnie, ponieważ woli uzależniać od siebie ludzi [...], i tym samym panować nad nimi bez ograniczeń, aniżeli ponosić ryzyko tworzenia grup zawodowych, które mogą znaleźć oparcie poza kręgiem działania tej władzy. Tylko "autentyczny profesor" podpisze list protestujący przeciw nadużyciom władzy - profesor z nadania, które jest tym samym, czym był w feudalizmie nadany tytuł wraz z lennem, zachować się w tak buntowniczy sposób nigdy nie będzie w stanie. A więc to, co z punktu widzenia ogólnonarodowego interesu jest irracjonalizmem władzy, działaniem na społeczną szkodę, z punktu widzenia samej owej władzy jest jej korzyścią polityczną.

Są to fragmenty tekstu z marca 1978, a więc tekst nie jest aktualny, nie dotyczył naszych czasów, to prognozowanie najbliższych lat PRL-u, Polski zależnej od władz radzieckich, 31 sierpnia 1980 roku Wałęsa podpisał w Gdańsku tzw. Porozumienia Sierpniowe między komitetem strajków "solidarnościowych" a rządzącą partią, zarejestrowano NSZZ "Solidarność". Niemalą polityczną rolę odegrał tu papież Jan Paweł II. Potem nastąpił tzw. karnawał solidarnościowy, a potem 13 grudnia 1981 i dekada tego, co przewidział Lem, regresji. Przypomnijmy sobie rolę oficjalnych mediów i współpracujących z nimi dziennikarzy w tym okresie. Polski papież stał się polską ostoją, odniesieniem, ratunkiem. Ceną, wtórne uzależnienie społeczeństwa od Kościoła i Konkordat między Stolicą Apostolską a III RP podpisany 28 lipca 1993 i obowiązujący do dzisiaj.

Lem podpisując swój tekst "Chochół" posłużył się ogólnie znanym tworem ze sztuki Wyspiańskiego, choć, jak sam przyznał, nie cenił zbyt wiele dramatów Stanisława Wyspiańskiego ("Przy okazji przyznaję się, że bardzo nie lubię Wyspiańskiego, a dziecko mające doktorat z polonistyki powie mi dlaczego, jeśli dodam dla ułatwienia, że chodzi mi o dramaty [...] pobrzmiwa mi jakąś irytującą nieprawdziwością", w: "Tako rzeczce Lem"). A jednak schował się za głęboko wypalony w polskiej świadomości "kulturowy mem" ustanowiony przez Wyspiańskiego. Za czasów Wyspiańskiego Polska jako autonomiczne państwo nie istniała, Galicja (wschodnia) z Lwowem i Krakowem należała do Austrii (Monarchii Austro-Węgierskiej).

Chocholi taniec na końcu "Wesela" symbolizuje rozmęślanie, pospolitość i bezradność, w jaką popadło polskie społeczeństwo, głównie inteligencja, po kilku nieudanych zrywach niepodległościowych. Mimo wielkich możliwości drzemających w narodzie (legendy Piastów, potęgi Jagiellonów) ciągle pod okupacją obcych mocarstw, ponieważ nie potrafi się zorganizować. Zarzut marazmu dotyczy głównie inteligencji, która zatraciła niemal całkowicie wolę walki, zanurzając się w dekadentyzmie.

Przedstawicielem inteligencji jest postać Dziennikarza rozmawiająca, jak pamiętamy, ze zjawą-Stańczykiem. Stańczyk, zaanektowany w drugiej połowie XIX wieku przez środowisko konserwatywne Krakowa, kładł

Dziennikarzowi do głowy, że czas zrewidować poglądy i szukać nowych dróg do odzyskania wolności przez Polskę. Mądry Błazen krytykował Dziennikarza, że swoją działalnością działa na niekorzyść narodu, a przy tym ma czelność nazywać się kontynuatorem jego (Stańczyka) myśli politycznej. Zjawia dała jasno do zrozumienia, że nie chce mieć do czynienia z Dziennikarzem i jego środowiskiem, które jedynie mąciło Polakom w głowach.

Po "Weselu" Wyspiański pisze "Wyzwolenie". W styczniu 2019 roku, czyli teraz, na 150-lecie urodzin Wyspiańskiego (15 stycznia), współczesny filozof z Krakowa, Piotr Augustyniak, przedstawia w książce "Wyspiański. Burzenie polskiego kościoła" uaktualnioną interpretację "Wyzwolenia" odnosząc się do naszych czasów, III RP, Polski demokratycznej, wolnej od 1989 roku, od 2015 roku rządzonej przez demokratycznie wybrany rząd (PiS-u). Jak się zatem dowiadujemy, czy raczej jak sobie uzmysławiamy, czy to dobre 100 lat temu, czy w drugiej połowie XX wieku, czy teraz, Polska jako naród, jest jakby "uśpiona".

Jakby ciągle spała. Raz w fazie beczynnego snu, drugim razem w fazie wzmożonej działalności, ale nadal jest to sen. Sen o wielkości, o nawróceniu Europy na chrześcijaństwo, o Jezusie, królu żeby to Polski, Wszechświata, ludzie jak zahipnotyzowani podążają za fantazmatem, ulice w polskich miastach są przemianowywane na imiona świętych i upamiętnienia wydarzeń kościelnych, do szkół wróciła religia i trzyma się mocno, do państwowych urzędów krzyże, kraj przecinają pielgrzymki, podążają do Częstochowy, budują się nowe bazyliki, Sanktuarium Bożego Miłosierdzia, Licheń... powstaje pomnik w Świebodzinie, największa w całym świecie statua Jezusa, "Chrystusa Króla Wszechświata"...

"Marząc o Polsce przebudzonej, odcinającej się od polskiego społecznego uśpienia zarówno w formie głuchego letargu, jak i lunatycznego wzmożenia, Wyspiański należy do grona intelektualistów, którzy jako pierwsi zdiagnozowali potrzebę i zarazem głęboką trudność odnalezienia się Polski w realiach nowoczesnego świata", pisze Augustyniak, a chodzi o obywatelskie upodmiotowienie. "Myśl zapisana w 'Wyzwoleniu' nie wchodzi w spór o to, czy powinno mieć ono konserwatywno-republikańską, liberalno-demokratyczną czy lewicowo-socjalistyczną konkretyzację. Spiera się raczej z klimatem społecznym, czyli z sytuacją fantazmatyczną, która sprawia, że żadna z tych opcji nie jest w stanie autentycznie Polski przebudzić".

I w tym sęk.

Augustyniak pisze dalej: *"Wyspiański konfrontuje nas z bardzo niewygodnym dla każdej ze stron faktem, że moc polskiego fantazmatu przemienia konserwatyzm w katolicko-narodową samoekscytację, liberalizm w podszytą zwątpieniem wiarę w 'normalność' i europejskość polskiej klasy średniej, lewicowość zaś w oderwaną od realiów społecznych i fantazmatycznych - jak to się dziś mówi 'kanapową' - wiarę w lewicowe ideały oraz w to, że polskie społeczeństwo, zamknięte w konserwatywno-liberalnym duopolu, tylko czeka na to, aby je ktoś nimi zapłodnił."*

Lem nie cenił Wyspiańskiego, bo, jak sam powiedział, zraził się do młodopolszczyzny, ale gdyby zgłębił dzieło Wyspiańskiego, przekonałby się, że i autor "Wesela" dystansuje się do modernizmu (nawet jeśli trudno by mu było wyskoczyć z własnej epoki, był jej współautorem). Wyspiański krytykuje polski somnambulizm i jest wizjonerem równie genialnym, jak Lem, tyle że Lem był mózgowcem, a Wyspiański wzrokowcem. Obaj byli w sobie współczesnych społeczeństwach osobni, od siebie też byli odlegli, ale w swoich wizyjnościach, w swoich stopniach geniuszu podobni.

Weźmy pewną konstrukcję myślową Lema w tekście "Wierzenia elektromózgów", gdzie Lem zastanawia się nad możliwością zbudowania takich inteligentnych homeostatów (wzorowanych na żywych organizmach sztucznych układów zdolnych do samoregulacji czynności quasi życiowych obdarzonych rozumem), które byłyby w stanie stworzyć systemy metafizyczne, jednym słowem byłyby to "sztuczne inteligencje mające wolną wolę". Oczywiście nie chodziło mu o stronę techniczną takiego przedsięwzięcia, a o teoretyczne przesłedzenie "ogólnych prawidłowości powstawania metafizycznych modeli świata".

"Zjawisko 'przejmowania modelu metafizycznego' przez jednostkę od społeczności, w której się urodziła i żyje, jest typowe i naturalne", stwierdza Lem. Tu chcę wspomnieć o dwóch klasycznych już eksperymentach przeprowadzonych w latach 60. i 70. przez dwóch kolegów-psychologów, Stanley'a Milgrama i Philipa Zimbarda. Obaj - w eksperymencie "nauczyciel - uczeń" i tzw. "eksperymencie więziennym" - udowodnili, że człowiek jest bardzo podatny na sugestie autorytetów, o wiele bardziej, niż się do wyników tych eksperymentów spodziewano.

To dlatego Niemcom nazistowskim udało się stworzyć tak zbrodniczy system, nie dlatego, że byli szczególnie zdegenerowani, także nie dlatego, że więcej wśród nich, niż w innych narodach, psychopatów, to byli zwykli ludzie w - in minus - niezwykłym systemie i sytuacjach przymuszających ich do czynności, o których sami siebie by nie posądzi. Prawem selekcji negatywnej awansowali bardziej bezwzględni i pazerni na stanowiska i przywileje, ale w gruncie rzeczy to byli normalni ludzie, którzy w normalnych okolicznościach zachowywaliby się mniej czy bardziej przyzwoicie.

Zarówno książka Hannah Arendt z 1963 roku "Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła", jak i książka z 1998 roku "Gorliwi kaci Hitlera: zwyczajni Niemcy i Holocaust" Daniela Goldhagena wywołały w świecie burzliwe dyskusje. Także eksperymenty Milgrama i Zimbarda zapisały się czarnymi literami w historii psychologii "Zła". Jeżeli eseje Lema na temat zdolności człowieka do zła i najgorszego z przykładów, zbrodni hitlerowskich, nie miały aż takiego odbioru, to tylko dlatego, że Lem nie startował z tak wysokiej platformy, jak Milgram, wykładowca na uniwersytetach Yale'a, Harvarda i New York University, czy Zimbardo, Sycylińczyk z pochodzenia wprawdzie, ale profesor Uniwersytetu Stanforda.

Lem w różnych swoich tekstach i na różne sposoby analizuje zdolność człowieka do zła w ogóle, a do tego najgorszego, jakim był Holocaust, w szczególności. Odnosi to do wiary w Boga i niewiary w Boga, buduje różne myślowe konstrukcje, zastanawia się nad kondycją człowieka, nad wolną wolą, nad odpowiedzialnością za czyny, nad wytycznymi z dekalogu i ustaleniami etycznymi, nad potwornością zła i atrakcją zła. Rozważa też, dlaczego wiara w dobro Boga, w miłosierdzie boskie, w straszną karę za grzechy wreszcie, nie zdołały ludzi powstrzymać przed zbrodniami. A jeżeli nie zdołały wtedy, to niby dlaczego nie miałyby nie zdołać w kolejnych sprzyjających okolicznościach? (np. eseje: "Diabeł i arcydzieło" z roku 1968, "Das kreative Vernichtungsprinzip. The World as Holocaust" z 1983 roku)

W dzisiejszej Polsce obowiązuje oficjalnie polityka historyczna dzieląca ludzi na narody i ideologie: w kontekście drugiej wojny światowej na naród polski, niemiecki, żydowski, w kontekście powojnia, na antykomunistów i komunistów, nie dopuszcza żadnych dyskusji na temat kondycji człowieka jako takiego i zniuansowania motywacji jego najróżniejszych zachowań.

Niemiecka telewizja ZDF zrobiła kilka lat temu miniserial "Nasze matki, nasi ojcowie" pokazujący, jak system hitlerowców opanowywał umysły młodych Niemców i jak demoralizował wszystkich, gdzie by się nie rozlał, również Polaków, Żydów i inne narodowości. Ale politycy polscy i będący na usługach ich polityki naukowcy, dziennikarze, intelektualiści, aż się zaplują, żeby nie powołać przyjrzeć się mechanizmowi działania takiego systemu na człowieka jako takiego. Dlaczego?

Dla dzieci rodzice i nauczyciele są oczywiście - przynajmniej przez pierwsze lata życia - najwyższymi autorytetami. Później, już jako dorośli ludzie mają także swoje autorytety, to, być może, nadal rodzice, ale też ludzie na prestiżowych stanowiskach, naukowcy, intelektualiści, dziennikarze, a także, a jakże, hierarchowie religijni.

Lem w eseju "Diabeł i arcydzieło" daje przykład Niemca, młodego rolnika, który w 1942 roku odmówił wstąpienia do armii, ponieważ uznał, że armia ta dopuszcza się zbrodni. Przez swoje społeczeństwo, wtedy, w tamtym systemie, uznany został za nienormalnego i stracony jako dezertor. Gdy jednak po wojnie, której bilans już każdy znał, zwrócono się do biskupa odpowiedniej diecezji, by wdrożył beatyfikację tego człowieka, w gruncie rzeczy bohatera, biskup nie posiadał się z oburzenia, ten człowiek nadal był dla niego zdrajcą. Dlaczego?

Lem wskazuje powód najoczywistszy: systemu nazistowskiego w jego szatańskiej skuteczności nie wymyślili geniusze, ale durnie, idioci, głupcy, ludzie myślący magicznie, którzy w sprzyjających historycznych okolicznościach doszli do władzy. To ludzie mający bardzo wąskie horyzonty myślowe (gdyby mieli szerokie horyzonty, zobaczyliby, że Rzesza nie będzie trwać 1000 lat a "zaledwie" 12 i zniszczy nie tylko wszystko wokół nich, ich świat, ale ich samych i jako zbrodniarze przejdą raz na zawsze go historii).

Więc to mózg, a raczej zbiór mózgów, kolektyw, tworzy takie czy inne systemy. Jeśli przed wiedzą faktyczną idzie wiedza magiczna i ta się wypali głębiej, to w razie czego wyprze tę opartą na faktach. Społeczeństwo składające się z ludzi wierzących w magię nie dopuszcza samokrytyki, nie zna stanu jawy, zna tylko stan uśpienia. Śpi albo snem głębokim, albo jest w stanie śnienia. A śpi i śni się osobno. Tylko na jawie można - argumentując - dochodzić do prawdziwych wniosków. Ważna byłaby sztuka deliberacji, umiejętności wyważania argumentów, dochodzenia do porozumień. Jednym słowem komunikacja na jawie. To ona prowadzi do rozwoju myśli i jej kumulacji, i, w rezultacie, do siły umysłowej danego społeczeństwa (narodu, a bardziej jeszcze narodów, bo gdzież są te "czyste etnicznie narody"? chyba tylko w polskiej propagandzie!)

A wtedy i przebicie, i posłuch mają moc. I jeśli tak jest, można skutecznie lansować "swoich" wielkich. Lem, czy Wyspiański dlatego nie są powszechnie uznanymi geniuszami, bo głos Polaków jako kolektywu jest mało słyszalny. Jakieś odgrazania się, jakieś pohukiwania, jakieś żale i skargi to za mało. Świat tego albo nie słyszy, albo poważnie nie bierze.

Piotr Augustyniak podsumowuje swoje rozważania o "Wyzwoleniu" Wyspiańskiego: *"A jeśli naprawdę polskie społeczeństwo próbuje dzisiaj powstać z kolan? A to, co się dzieje, jest przebudzeniem społecznej mocy, która pragnie samostanowienia i kreowania własnego losu? Jakkolwiek by to oceniać, jest coś przejmującego w tym, że jedno z najbardziej biernych i fantomowych społeczeństw Europy marzy o swojej podmiotowości i woła o nią, chce decydować o sobie, być sobą, czuć własną siłę. /.../ reformatorski trud, tu i tam podejmowany w polskich dziejach, nawet gdy odnosi spektakularne sukcesy, musi w końcu natrafić na mur wewnętrznej niemożności i na przemożną*

moc regresu. A ta przybiera postać nieznośnego głodu sensu i poszukiwania 'wielkości', których polska codzienność nie zaspokaja, szuka się ich więc - posłki fantazmat nie pozostawia nam innej możliwości - w mesjanistycznym romantyzmie i jego sienkiewiczowskich, upiornych powidokach. /.../ Podziały polityczne sięgają wigilijnych stołów, wakacyjnych plaż, szkolnych korytarzy. A jednak ten nadspodziewany triumf polityczności niemal nikogo nie cieszy. Przeciwnie, jest powodem coraz większego niepokoju, bo towarzyszą mu postprawda, zanik debaty i dialogu oraz, co moim zdaniem kluczowe, uwiad samodzielne, krytycznego myślenia".

W wyjątkowo udanym, postępowym okresie życia kulturalno-oświeceniowego Lwowa wytworzył się tak sprzyjający intelektualny mikroklimat, że mały superinteligentny Staś Lem mógł wyrosnąć na dużego Stanisława Lema i - już samodzielnie - stworzyć sobie swoją samotną niezależną wyspę w powojennym Krakowie. W mieszczańskim Krakowie z małego superutalentowanego Stasia Wyspiańskiego wyrósł wielki Stanisław Wyspiański i tworzył kochając krakowskie kamienie, ale nie krakowian, bo mieszkańcy Krakowa bardziej mu przeszkadzali, niż poznawali się na jego geniuszu. Obaj potrafili osiągnąć stan "podmiotowej samoistności człowieka" i tworzyć na najwyższym światowym poziomie dokładając się swoim dziełami do światowej kultury. W chwili gdy Polska otrząsnie się ze "spętania" polskim fantazmatami, romantyzmem, kościołem, polityką, świat włączy naszych twórców kultury do swojego skarbcza.